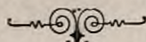
Nr. 38. We Lwowie dnia 19. września 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

„...A imię jego czterdzieści i cztery“.



Krótkie słowo w długiej sprawie.

Poświęcam przyjaciołom w Kaliskiem.



Zbytecznem byłoby przytaczać strofy, w których znajdują się wyrazy, postawione zamiast nagłówka! Zna je każdy wykształcony czytelnik i każdy z nich wie dobrze, który wieszcz i gdzie je wypowiedział. W całej poezji Mickiewicza, dostępnej rozumieniu i pojęciu wszystkich, bardzo mało znajdziemy podobnych ustępów, które odznaczałyby się taką zagadkowością, które drażniłyby czytelnika umysł niejasnością swoją, które wyciągałyby na komentarze — mniej lub więcej udatne — każdego niemal krytyka i które — pomimo, że sześćdziesiąt pięć lat ubiegło od czasu wydania poematu — dotychczas są dla nas nierozwiązaną zagadką!

Genjusze tworzą arcydzieła, ale się nie bawią lub bawić nie chcą pisaniem do nich objaśnień. Myśli i uczucia swoje rzucają na pokarm i na pastwę ogółowi: niech każdy rozumie je i tłómaczy po swojemu, w miarę własnych zasobów umysłu i sercu, w miarę swojej wiedzy i osobistej przenikliwości. I Mickiewicz, rzucając narodowi ten enigmatyczny frazes, zdaje się, że chciał umyślnie stwierdzić powyższą prawdę. Silono się więc nad odgadnięciem znaczenia jego i za życia poety (który milczał na podobieństwo sfinksa), i po śmierci jego. Silono się jednak napróżno, jak o tem każdy przekonać się może i z biografji poety i ze specjalnej rozprawy, wyłącznie poświęconej tej kwestji (Erazm Krzyszkowski. Czterdzieści i cztery, przyczynek do studjów nad „Dziadami“ Mickiewicza. Czerniowce, 1888).

Przytaczamy pokrótce wszystkie znane nam komentarze powyższego ustępu.

Henryka Ewa hr. Ankwiczówna, która w r. 1833 najwięcej może miała prawa do istotnego rozumienia uczuć i myśli poety, widzi w tej liczbie aluzję czysto chronologiczną: prosty okres czasu, który miał trwać ogółem czterdzieści cztery lata, licząc od ostatnich wypadków zeszłego stulecia, i listownie zapytuje poetę: „Czy tak jest, chciej Pan nam donieść? Jabym się mocno cieszyła, jeżelibym prędzej na myśl Pana trafiła, jak (!) wszyscy teraz w Rzymie zgromadzeni ziomkowie“.

Emigranci paryscy rozumieli pod tą liczbą Adama ks. Czartoryskiego, potem zaś Andrzeja Towiańskiego. Istotnie, w kółku zwolenników „proroka“ czy „mistrza“ liczba 44 miała mistyczne znaczenie i pierwsi biografowie Mickiewicza Fontille i Estrejcher oświadczyli się za tem, że pod nią rozumieć trzeba Towiańskiego. Leon Zienkowicz w swoich paryskich prelekcjach nie odrzucał wprost takiego pojmowania frazesu, ale też i nie uważał go za pewne, skoro się wyraził, iż „w tej zupełnej dezorganizacji, w jakiej był naród, kiedy wyglądano zbawcy, mesjasza, owego Czterdzieści i cztery, każdy się pytał siebie, czyli nim nie jest. Może nawet były chwile, iż n i e j e d e n w to wierzył, a pierwsze prawo do tego przyznawali p o e c i e“.

Trzymając się tej wskazówki, a może i samodzielnie Wojciech Cybulski w swoich wrocławskich odczytach, nie odrzucając stanowczo zastosowywania liczby do Towiańskiego, wypowiedział przypuszczenie, iż 44 odnosi się zapewne do samego Mickiewicza: objaśniał nawet, że imię jego ma cztery litery, nazwisko

zaś składa się z dziesięciu liter, a więc 4 × 10 + = 44. Cybulski jednak nie wyjaśnił szczegółowo pojedyńczych wyrażeń obu ustępów i ostatecznie wyraził się, iż „pod tym względem nie można nic stanowczego powiedzieć, jak również, czy 44 jest rokiem życia przyszłego mesjasza, lub rokiem, w którym jego posłannictwo ma się dokonać".

Lucjan Siemieński zauważył, że liczba 44 przypomina *Les rapports quartenaires* Saint Martin'a; ale ponieważ sam Mickiewicz nie chciał, czy nie umiał wyjaśnić tej liczby, więc i Siemieński nie sili się na żadne tłumaczenie.

Antoni Mazanowski w myśl Cybulskiego przypuszcza, że w odpowiednich ustępach mówi poeta o samym sobie: krytyk jednakże niekonsekwentnie do czego innego odnosi inne rysy samego bohatera: nie rozumie także, co mogłyby znaczyć wyrazy „z matki obcej", i nie wyjaśnia również najważniejszej rzeczy — słów owych: „a imię jego czterdzieści i cztery".

Zygfryd Lipiner, w przedmowie do niemieckiego tłumaczenia „Dziadów", nie umie na pewno powiedzieć, co znaczy ta liczba, i przypuszcza, że jest to alegorja nadludzkiej istoty w nadludzkiej postaci, pozostawiając komuś bystrzejszemu jej wytłómaczenie.

Wspomniany już wyżej Erazm Krzyszkowski sądzi, iż postawił jajko Kolumba, napisawszy liczbę 44 rzymskiemi cyframi: XLIV; dwa ostatnie znaki przyjmuje on za literę N., otrzymuje więc: X. L. N., albo początkowe litery frazesu *Książę Ludwik Napoleon* (Napoleon III) i chce przekonać czytelnika, że Mickiewicz tę osobistość miał na myśli i w niej przepowiadał wskrzesiciela Polski. Komentarze jednak Krzyszkowskiego są tak naciągane i argumenty tak słabe, iż nie przemawiają wcale do przekonania czytelnika i nie mogą go zmusić, ażeby przyznał rację więcej dowcipnemu niż uczonemu autorowi i zgodził się z jego zdaniem.

Piotr Chmielowski dyskretnem milczeniem pominął kwestję, kogo mianowicie Mickiewicz miał tu na myśli, i twierdzi, iż „liczba 44, mająca w sobie dwie jednakowe cyfry, wytworzyła się w wyobraźni (poety) pod działaniem analogji z liczbą apokaliptyczną 666; dlaczego zaś ta, nie zaś inna, to zależało od chwilowej asocjacji wyobrażeń: mistycznie nastrojony poeta, poczytujący twórczość wyobraźni za wpływ potęg nadziemskich, mógł tę chwilową asocjację, która się w uroczystej chwili tworzenia wśród ciszy nocnej w obcem mieście, w umyśle jego zjawiła, uważać za symboliczną i lubo sam jej wytłómaczyć nie zdołał, postanowił zatrzymać w poemacie, ażeby wskazówki nadziemskiej nie stracić dlatego tylko, że analiza rozumowa wyjaśnić jej sobie nie mogła". Jest to objaśnienie uczone; ma tylko tę słabą stronę, iż czytelnik tyleż wie po przeczytaniu go, ile wiedział przedtem.

Władysław Mickiewicz zgadza się na domniemany wpływ Saint-Martin'a, ale go to nie zadawalnia: zrobiwszy wycieczkę w dziedzinę mistycznej wartości liczb, przyszedł do wniosku, iż 44 może być równoznacznem z hebrajskiemi wyrazami *mad* (przestrzeń) albo *abiel* (ojciec bohatera).

Nad tak głębokim wywodem zastanawiać się nawet nie warto. Zaufanie, jakie Józef Kallenbach, najnowszy biograf i krytyk poety, ma do takiego tłómaczenia, jest zapewne wynikiem osobistego pietyzmu, po za którym wszakże ukrywa się zeznanie, iż „próżno objaśniać, skoro zagadki sam poeta objaśnić nie zdołał". Ustępy z dzieła Saint-Martin'a o czwórkach, przytoczone przez fryburskiego profesora, uważam za bajdy nie mające sensu, lepiej byłoby nie zapełniać niemi całej prawie stronicy, a poprzestać na tej tylko pobieżnej uwadze, iż w omawianym ustępie poematu liczba 44 jest refleksem pamięci. Dwa te ostatnie wyrazy są najwięcej warte; coś wyrażają przynajmniej bliskiego do prawdy, gdy tymczasem cały wywód Władysława Mickiewicza, uważany przez Kallenbacha za najbliższy prawdy, jest od niej w rzeczywistości bardzo dalekim.

Po zjawieniu się już pracy Kallenbacha, na szpaltach „Przeglądu literackiego" wyłoniły się jeszcze dwa objaśnienia liczby 44. Antoni Lange twierdzi, iż „Mickiewicz, jak wszyscy mistycy, robił wyliczenia tajemnicze" (?!), podstawia więc liczby zamiast liter i za pomocą dowolnych operacyj niemi odkrywa w 44-ch pierwszy werset pacierza: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie", a Daniel Toporski w literach MV (odwrócone A) czyta tę samą liczbę! Rejestrujemy i te komentarze, choćby tylko dla samej osobliwości.

Tak stoi obecnie sprawa czterdziestu czterech. Żeby raz przecie wiedzieć, co o niej sądzić należy, postaram się ją wyjaśnić ostatecznie.

Winienem jednak najprzód uprzedzić czytelnika, iż moja fantazja nie ma skrzydeł i że mój rozum bardzo sceptycznie zapatruje się na wszelkie proroctwa, jasnowidzenia i przepowiednie. A więc, według mego poglądu na rzeczy, to, co Mickiewicz pisał w r. 1832-im, musiało się odnosić nie do tego, co będzie, lecz do tego, co było, czyli, mówiąc innemi słowy, rozumiem, że w poemacie nie mogło być mowy o bohaterze przyszłym, lecz o takim, który się już zjawił. Że Mickiewicz jest Konradem w „Dziadach", na to zgadzamy się wszyscy. Dlaczego, zapytuję się, nie Konrad, lecz ks. Piotr przepowiada zjawienie się owego bohatera? Odpowiedź prosta: dlatego żeby słowa ks. Piotra odnosić się mogły do Konrada, to jest do Mickiewicza, któremu rolę prorokowania

wypadało powierzyć innej osobie, obdarzonej odpowiednim charakterem. Wszystkie szczegóły i pojedyńcze rysy, któremi ks. Piotr kreśli postać swego bohatera w obu ustępach poematu, w zupełności stosują się do Mickiewicza; zauważył to już Cybulski i inni; każdy zresztą czytelnik łatwo je zrozumieć może. Do objaśnienia pozostają tylko dwa wiersze:

»Z matki obcej; krew jego dawne bohatery.
A imię jego czterdzieści i cztery«,

powtórzone w końcu każdego ustępu, które również do Mickiewicza odnosić się muszą, skoro są dalszym ciągiem i uzupełnieniem poprzednich, i ja objaśniam je w następujący sposób.

Ów mesjasz, co na sławie miał budować ogromy swego kościoła (to jest kościoła poezji), pochodził z krwi dawnych bohaterów, to jest, litewskich Rymwidów herbu Poraj — takie bowiem były przydomek i herb rodziny Mickiewiczów. Jeżeli zwrócimy uwagę na najogólniejszą różnicę nazwisk polskich od litewskich, tę mianowicie, że pierwsze kończą się na *ski*, a drugie na *icz*, i jeżeli sobie przypomnimy coś o litewskim partykularyzmie (i Mickiewicz nie pozbawiony tych rysów:), to zrozumiemy wyrażenie „z matki obcej“, albowiem matka poety (Barbara Majewska), jako polka, a nie litwinka, teoretycznie rzecz biorąc, była istotnie, „krwi obcej“. Można powyższe wyrażenie pojmować i w ten sposób, że w żyłach matki poety i jej przodków nie płynęła krew rycerska, tak jak w żyłach Porajów, albo też że rodzina matki nigdy nie miała przedstawiciela w dziedzinie poezji, lub że odznaczała się dążnościami praktycznemi i prozaicznemi; zresztą... rodzina Majewskich należała do nobilitowanych na sejmie koronacyjnym roku 1764-go.

Uderza mię następnie w tych wierszach forma wyrazu bohatery. Mianownik liczby mnogiej od bohater brzmi właściwie bohaterzy. Forma bohatery ma odcień znaczenia pogardliwy i w danym razie wcale nie odpowiada wysokiemu nastrojowi poezji. Jeżeli Mickiewicz użył takiej formy, to zapewne nie bez powodu: widocznie chciał uzyskać rym do wyrazu cztery. Inaczej mówiąc, wyraz cztery, a zatem i liczba 44, jest w danym razie kardynalnym, głównym, musi więc mieć jakieś głębsze znaczenie i jakąś faktyczną rację bytu, a nie jest wynikiem prostej (lecz niezrozumiałej) asocjacji ideji, jak chce Chmielowski, ani też bezwiednym refleksem pamięci, jak twierdzi Kallenbach. Skoro i ta liczba odnosi się do Mickiewicza, więc przedtem w jego życiu zapewne zdarzyła się kiedyś i, co ważniejsza, w warunkach donioślejszych. Ponieważ jestem zwolennikiem historyczno-krytycznej metody badań i w zakresie literatury i wierzę tylko w autentyczne dokumenty, tudzież w kombinacje na takich danych oparte: musiałem przyjść do wniosku, że trzeba poszukiwać dokumentów, któreby pomogły nam rozwiązać tę zagadkę.

Jakoż dokumenty się znalazły!

Z tych, które w odpisach posiadam w mojej tece, widać, że:

1) wywód szlachectwa, złożony przez Mickiewicza przy wstąpieniu do seminarjum nauczycielskiego przy uniwersytecie wileńskim z datą 2. października 1815 roku, oznaczony jest numerem

445;

2) dyplom na stopień kandydata filozofji, wydany Mickiewiczowi przez uniwersytet wileński, pod datą 26. października 1825 roku nosi numer

4244;

czyli, dwie pierwsze cyfry pierwszego numeru i dwie ostatnie drugiego stanowią ową kabalistyczno-mistyczną liczbę

44.

Teraz to zrozumiemy i asocjację pojęć i refleks pamięci! tylko nie bezwiedny. Było to napisane świadomie, w poczuciu siły genjuszu, który przedtem ruszać chciał z posad bryłę świata, a teraz, gdy... głos wystrzelił w całe obręby stworzenia, gwiazdy wstrzymały się w pędzie, słuchając pieśni miłości:

Ja i ojczyzna to jedno;
Nazywam się Miljon, bo za miljony
Kocham...

Gdyby kto wątpił, czy Mickiewicz mógł owe numery pamiętać, odpowiem mu, 1) że w wielkim umyśle na wszystko jest miejsce; 2) wiedzieć należy, że poeta przed samym wyjazdem za granicę starał się o miejsce tłumacza w ministerjum spraw zagranicznych albo przy jakimś konsulacie w południowej Europie (powiem coś jeszcze o tem innym razem), więc w r. 1832 miał w świeżej pamięci szczegóły, odnoszące się do jego osobistych dokumentów, z któremi żegnał się na zawsze, czyniąc w poemacie akces do ostatnich wypadków.

Tak więc, wczytując się w dokumenty, wydarliśmy poecie jego tajemnicę, o której za życia Mickiewicza wiedział od niego samego chyba jeden tylko Garczyński, bo ten tylko w jednym z listów swoich wyraził się: „Tobie, kochany Adamie, bardzo szanować się potrzeba; Polska jednego tylko ciebie posiada“ — człowieka czy bohatera tej miary, o jakim właśnie w poemacie mowa. Z historji emigracji wiadomo, że Mickiewicz nie był owym jednym czy jedynym, uznawanym przez wszystkich; co gorsza, rodacy poili go nieraz goryczą i sprawiali mu przykrość napaściami swemi. Czyż wobec tego miał się sam przyznać, że siebie rozumiał pod liczbą czterdzieści czte-

ry? Przeciwnie, dyskretne milczenie jego o tym ustępie poematu i przeczące odpowiedzi służą jako dowód wypowiedzianego przezemnie zdania. Na usilne prośby Ankwiczówny co do znaczenia liczby 44 nie odpowiedział wcale. Nie w jego interesie również leżało rozwiewać złudzenia towiańczyków pod tym względem.

Pytającym się o znaczenie tak niejasne dawał odpowiedzi, iż im się zdawać mogło, że nie chciał, czy też nie umiał wytłómaczyć odpowiedniego ustępu. Tak twierdzi Lucjan Siemieński. Dodam od siebie, iż podobno Nepomucenowi Niemojowskiemu (zmarłemu w roku 1873-im w Śliwnikach, w W. Ks Poznańskiem), który w roku 1843-im złożył poecie wizytę i przy tej sposobności zapytywał go o znaczenie słów „czterdzieści i cztery“, Mickiewicz odpowiedział wprost, że sam tego nie wie: w pamiętnikach Niemojowskiego, dotąd niewydanych, zapewne musi być ten szczegół dokładniej opisany. Jeden jedyny raz w ostatniej swej prelekcji w Collège de France, poeta, mówiąc o zjawieniu się bohatera, mimojazdem zrobił wzmiankę, że on już dawniej przepowiadał zjawienie się jego i przytoczył w skróceniu widzenie ks Piotra, opuściwszy wszakże końcową kabalistyczną liczbę. I ta enuncjacja jego do tyla była niewyraźną, iż obecni na prelekcji słuchacze nie wiedzieli napewno, do kogo się odnosi, tak zaś była wypowiedziana, że wobec ówczesnych stosunków i politycznych tendencji Mickiewicza można ją było zastosować... do niego samego.

Czy Mickiewicz był istotnie, czy też nie był tym bohaterem, którego rolę wyznaczył sobie i określił we własnym poemacie? — niech łaskawy czytelnik sam o tem pieśń tworzy, zważywszy, jakie znaczenie mają utwory jego w ogólno-europejskiej literaturze i jaką jest ich doniosłość dla nas, choćby tylko w samym narodowo-literackim względzie i zakresie.

(Kurjer Warsz.) *Teodor Wierzbowski.*



Z ZAPADŁYCH KĄTÓW.

NOTATKI WAKACYJNE.

I. Brzeżany.

„Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy“ — napisał poeta i od tej chwili Brzeżany pewne być mogły swojej nieśmiertelności. Choćby olbrzymi staw wyparował do ostatniej kropli, choćby do reszty a nawet w pył się rozsypał stary zamek Sieniawskich, Brzeżany żyć będą w pamięci i wyobraźni każdego, kto powtarzać będzie pierwsze słowa „Jana Bieleckiego:“ „Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy“.

I wtedy w umyśle jego przedstawią się fantastycznie rozłożone wzgórza, pokryte nieporównanej zieloności lasem i szeroka, bezbrzeżna, zdawałoby się, tafla stawu i zamek, co jak zagniewany na płochą młodzież starzec usiadł w rozwidleniu błękitnawej rzeki i klasztor, ze wzgórza poglądający na miasto i samo miasto wreszcie marmurową jakąś białością sprawiające, że kawał tego w górze zwykle chmurnego nieba, jakoś nad Brzeżanami weselej wygląda. „Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy“.

A trzeba przyznać, że ten obraz fantazji niedaleko by odbiegał od rzeczywistości. Nie szowinizm lokalny mną, jako obcym, powoduje jeśli powiem, że Brzeżany byłyby ślicznym i nadzwyczaj przyjemnym zakątkiem, gdyby nie były tak... zapadłym kątem.

Od lat wielu mieszkańcy ich marzą o kolei, od lat wielu potrzeba jej nieustannie wzrasta, a przecież jakoś nadzieje te zawsze skazane są na bezowocność. Myślałby ktoś, że postanowiono sobie uczynić z Brzeżan coś w rodzaju amerykańskiego parku Yellowstonu, który jest kawałem kraju, gdzie dzika pierwotna natura, prawami, ściśle strzeżonemi przez państwo, zabezpieczona jest od niszczącego najścia cywilizacji Ale tymczasem Brzeżanom kazano właśnie być ważnem ogniskiem owej cywilizacji, kazano być miastem piętnastotysięcznem, w którem się mieści prócz wielu instytucji prywatnych i sąd obwodowy i gimnazjum wyższe i dyrekcja finansowa i wreszcie jedyna dziś uzupełniająca komenda wojskowa, która niema bezpośredniego połączenia kolejowego.

A mimoto wymijano Brzeżany przy budowie kolei i kiedy ostatniemi laty przeprowadzono linję kolejową, Halicz-Ostrów, to z nakładem wielkich kosztów skręcono ją w bok od Brzeżan i zamiast gruntem stałym, poprowadzono bagnami, co było powodem nawet głośnego zapadania się nasypów i walenia się mostów na ledwo co zbudowanej linji, byle tylko tor kolejowy przebiegał nie bliżej, jak o milę od naszego miasta.

Naturalnie owo lekceważenie irytuje mieszkańców Brzeżan niemało, z wyjątkiem pewnego profesora, który powiada, że wszystkiemu winna... fizyka. Wiadomo bowiem z fizyki jak żelazo ulega silnie wpływowi magnesu, żelazne więc szyny koleji Ostrów-Podwysokie musiały zboczyć od Brzeżan do wioski Krzywe, bo w Krzywem ma swoje siedlisko tak silny magnes jak... pan Filip Zaleski, eksminister i właściciel owej uprzywilejowanej miejscowości.

A „pan Brzeżan", hr. Potocki, zadowolony że „w cudnej mieszka okolicy" ani palcem nie zakrzywił aby miasto ochronić od owej krzywdy, i kiedy go wprost naciskano o interwencję, odpowiedział bez ogródek: „A mnie poco kolej?" Dzięki temu zepchnięto Brzeżany w hierarchji krajowej znacznie niżej, niż pierwsza lepsza dziura, stanowiąca stację kolejową, Brzeżany poczynają przedstawiać coś w rodzaju przysiołka; czy czegoś podobnego dla obcych, którzy dziś już adresują: „Brzeżany bei Kozowa", a dodajmy, że Kozcwa jest kupą żydowskich ruder, liczącą 2000 mieszkańców, tylko że ma to szczęście znajdować się przy kolei.

Wogóle Brzeżany nie mają szczęścia do moralnych swych opiekunów, czyli właścicieli. Poprzedni właściciel, hr. Stanisław Potocki, kompletnie zcudzoziemczały, przybywał do Brzeżan na kilka tygodni ledwo w roku, dla wypoczynku i cenił je o tyle tylko, o ile były źródłem pieniędzy, które można było wydać w Paryżu. To też wyobraźnia ludu w bardzo charakterystyczny sposób go osądziła.

Oto kiedy umarł i zabalsamowane ciało jego złożono w kaplicy zamku przemienionego na koszary, zanim przewieziono go do Wilanowa, zdarzyło się, że każdy niemal rekrut, postawiony w zamku na warcie, nocą zbiegał z posterunku. Pułkownik, człowiek surowy, ale mądry, zamiast chwycić się odrazu najostrzejszych środków, wezwał do siebie zbiegów i zapytał o co im właściwie chodzi?

„Tam żaden człowiek w nocy nie wytrzyma — odpowiedzieli — bo tam Potocki straszy. Jego pochowali we fraku obok Sieniawskich, co leżą w kontuszach, więc oni go między siebie przyjąć nie chcą"...

Syn i następca Stanisława, hr. Jakób Potocki, od miasta i jego potrzeb i wogóle od społeczeństwa odgraniczył się niby murem chińskim, zatopiony w kontemplacyjnem rozpamiętywaniu samego siebie. Kiedy chodziło n. p. o kilkanaście palów dębowych pod pływalnię na stawie, on nietylko ich nie dał z olbrzymich lasów brzeżańskich, ale ich nawet sprzedać nie chciał. Raz zdawało się wyważył się z tej kamiennej niechęci: wtedy, gdy ofiarował 10.000 złr. na odnowienie Wawelu. Ale powróciwszy do Brzeżan czemprędzej obciął pensje swoim oficjalistom, tak że wielu nie mogło się zdecydować, kto właściwie owych 10.000 zł. zapłacił? Hrabia Potocki, czy jego sługy?...

...„Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy" — w cudnej nietylko urokiem natury, ale przeszłością, wspomnieniami, wonią historji, którą jakby cała jest przesiąknięta. A niby ogniskiem tych wspomnień i pamiątek, jakby talizmanem, który wskrzesza w pamięci świetną przeszłość Brzeżan, jest zamek — co go wedle słów poety — „rzeka objęła w dwa ramiona".

Miły Boże! Każdemu z nas, „przewrotowców" którzy zdaniem „ludzi ładu społecznego" wyrzekamy się „przeszłości", serce się kraje, że ten kolos kamienny, z dziwną wytrwałością opierający się działaniu czasu, skazany jest na poniewierkę. Tymczasem chorążowie tradycji historycznych, piastunowie „wielkich imion" z tarczą nie pozłacaną, ale wprost złotą od miljonów, nagromadzonych w ogniotrwałych kasach, lub podziemiach Banku Angielskiego, od długich i bogatych kluczów posiadłości ziemskich, pozwalają że kolebki ich rodów próchnieją i w pył się rozpadają, że codziennie trąbka żołnierska i rubaszne krzyki mącą wieczny spoczynek ich przodków, że lada kto ich trumny potrąca i w ich wnętrza zaziera; a to wszystko nieodzywa się wcale bolesnem echem w ich sercu ani w — kieszeni!...

A stary zamek Sieniawskich, z ogromnych ciosowych kamieni zbudowany, starością swoją ponury, jakby się zaciął i zawziął przetrwać niejeden wiek jeszcze i obojętność praprawnuków swoich dziedziców, aż może kiedyś jakieś „demokratyczne" społeczeństwo się nad nim ulituje i ochroni go od zagłady.

Mimoto tu i ówdzie mury się nadszczerbiły i musiano je cegłą nadsztukować. Paradną bramę, od strony zwierzynieckiej góry i lasu, zamurowano i już dość niewyraźnie widnieją ponad kamiennemi jej odrzwiami rzeźbione ozdoby, wśród których najmniej zatarte znaki ryb. Może czas pozostawił je jako symbol rybiej obojętności, z jaką traktują zamek obecni jego dziedzice?

Pomiędzy rzeźbami są jakieś napisy, ale odczytać ich niepodobna, przystęp bowiem do murów przecina zagon kartofli, obwiedziony drutem. A nie jest to wcale profanacja, ale bolesny, bo jedyny objaw dbałości o pamiątkę historyczną i to ze strony całkiem obcego człowieka! Mianowicie pułkownik, komendant zamku, w którym się mieszczą koszary, stworzył w ten sposób zaporę, aby żołnierze nie mogli niszczyć zewnętrznych jego murów.

Dwie inne bramy stoją wiecznie otworem, pozostały bowiem po nich tylko potężne zawiasy żelazne, tkwiące jeszcze w murach. Ale nocą, przy blasku księżyca, odbijającego się w nurtach Złotej Lipy, która pierścieniem opasuje zamek, gmach ten wygląda jeszcze potężnie. I zdaje się wtedy, że nie jest to umarły olbrzym, że śpi tylko, równocześnie czuwając, i mając w pogotowiu nabite działa i śmigownice w długich otworach strzelnic. Otwarte bramy zapewne czekają na przybycie gości, za chwilę odezwie się trąbka herolda, z krużganku nad bramą błysną pochodnie i orszak rycerski wjedzie na dziedziniec...

W dzień jednak wszelką ułudę usuwa dym i para, bijąca z lewego skrzydła: tam hr. Potocki warzy piwo, sławne ze swej... lichoty.

Prawe skrzydło odgraniczone parkanem, który przecina podwórze, mieści, jak powiedziałem, koszary. Nad drzwiami, które niegdyś do wspaniałych komnat wiodły, kędy może ów jeden jedyny raz, opisany w „Janie Bieleckim“, wdarli się podczas balu Tatarzy do wnętrza zamku, widnieje biały na czarnem, niemiecki napis: „Küche“, na gankach, z których niegdyś strojne damy przypatrywały się zapasom rycerstwa na dziedzińcu, wietrzą się żołnierskie spodnie...

W obrębie zamkowym, tuż koło bramy od strony miasta, stoi kaplica Sieniawskich. Niegdyś w gorszej, niż zamek znajdująca się poniewierce, dopiero przed 15 może laty przyprowadzona została do jakiego takiego ładu. Niezbyt to dawna przeszłość, kiedy dragoni mieli w niej stajnie, wyrzucili nawet z podziemi ogromne, ołowiane trumny Sieniawskich, aby mieć miejsce na skład owsa, a z tych trumien porobili podstawy pod żłoby. Stąd na powierzchu ich znać liczne rysy i rozdarcia, stąd wypukłe, naturalnej wielkości postacie Sieniawskich, ozdobiające wieka, z fotograficzną wiernością widocznie powtarzające ich rysy, pozapadały się w głąb jakby piersi, wydawszy bolesne westchnienie, niemiały już siły się podnieść.

I dziś jeszcze, nie wiadomo dla czego, dwie trumny stoją na górze, w kaplicy, a kto przyjdzie ciekawy a silny, że może dźwignąć ogromne wieko, spogląda na spruchniałe strzępy strojów, na resztki kości i czaszek. Potem z hukiem opuszcza wieko, a lekki pył wzbija się w powietrze... Może to błoto, pokrywające posadzkę kaplicy, to rozdeptane popioły Sieniawskich, może to ma być kara za ich pychę i butę?

Kaplica, jak powiedziałem, niby to odnowiona, ale tak jakoś niedbale, ot, tyle, co potrzeba dla oka ludzkiego. Wąziutkiemi schodkami w murze, któremi przemykali się łatwo chudzi kantorowie, ale gruby szlachcic z trudem tylko mógł się przecisnąć, wychodzimy na chór i obejmujemy wzrokiem całość dość obszernej kaplicy. Tu i ówdzie widać ślady starego malowidła, tu i ówdzie z pod tynku, gładko wybielonego wapnem, przebijają jakby ślady dawnych płaskorzeźb. W każdym razie lepsze to, niż gruz i zniszczenie.

(C. d. n.)



Jak się bawimy u siebie.

(Kartka z życia litewskiego).

(Dokończenie).



W cichą noc lipcową, pełną łagodnego światła księżyca na pełni, wracaliśmy do domu. Po wielkich równinach pól stały w równe szeregi wyciągnięte kopce użętych snopków, niby śpieszący gdzieś ludzie, których sen nieruchomy zaskoczył nagle w pochodzie. Częściej łany stały niezżęte i pod białe, senne światło miesiąca srebrzyły się płowo pochylone kłosy nieruchome, ciche. Gdzieniegdzie w nizinach, po zielonych łąkach, podnosiły się mgły i gazą snuły się zwolna ku górze.

Cisza panowała wielka; żaden wietrzyk nie przemknął, żaden liść nie zaszeleścił w zaroślach; zdawało się, że noc wstrzymała oddech i oczekuje na kogoś, na coś, co przyjść ma z głębin boru, co spłynie z czuwających nad ziemią niebiosów, lub podniesie się tam, w tych mgłach przyziemnych oparów.

Cicha noc, ciche nawiewała dumy. W nikłym blasku księżyca, na idących w dal sennych obszarach, snuły mi się przed oczyma postacie i sceny dzisiejszego wieczoru. To widziałam Janka, okrytego togą wieszcza i myślą goniłam jego przyszłość i przyszłość podobnych jemu „urodzonych w niewoli, okutych w powiciu“, a w najbujniejszych chwilach młodości potrząsających okowami i lecących duszą i czynem śmiałym zawsze w jedną, w jedną zawsze stronę — to przypominałam sobie to dziewczę ukoronowane cierniami, co dla zabawy przywdziało kir i ciernie i nagle uczuło w młodem sercu wszystkie ciernie i ból niewoli: myślałam o tej na ogół zabawie naszej, gdzieśmy się zjechali, aby zobaczyć się ze znajomymi, zabawić się, pogawędzić, i nagle a niespodzianie dla nas samych zaczęliśmy się modlić hymnem pełnym łez i krwi.

Konie niosły nas szybko; z wonnych szerokich obszarów wpadliśmy w bór czarny, milczący, zadumany, wyniosłemi głowami sięgający rozświetlonych księżycem niebiosów. Przebiegliśmy drogę przecinaną gęsto kolumnowym cieniem sosen, minęliśmy tajemnicze, snującą się mgłą przysłonięte polany, pełne zarośli i niewyraźnych w nich szmerów, i wyjechaliśmy znowu między łany niezżętego żyta.

Wspomniałam opowiadanie pana Dominika — tu właśnie były niegdyś włości Chaleckiego.

Stanęła mi przed oczyma dorodna postać powstańczego dowódcy. Może właśnie w taką noc, może w tych miejscach nawet przemykał

[library stamp]

się za swą partją, na leśne tułactwo śpiesząc, na znój, na głód, na sto śmierci. czyhających z każdej gęstwiny, z każdej polany, z każdego zakrętu drogi. A jednak musiał biedz raźno i oczy gorzały mu żywym a szlachetnym blaskiem.

W taką noc błonia te przed trzydziestu laty nie były tak martwe, senne. Roili się tu ludzie i ten zimny, biały blask miesiąca połyskiwał wężami błyskawic na ostrzach karabinów, na stali pistoletów — i w ogniu ich źrenic i na czołach jasnych; ziemia tu tętniała tententem głuchym, tajemniczym, a przyśpieszonym i silnym, jak serc ich bicie. W martwem, cichem powietrzu brzmiały tu słowa szeptane, niedługie, lecz taką moc mające, że jak gromem zatrzęsły tą ziemią spokojną i lasem starym, uśpionym.

Krótkie były te chwile: w ogniu błyskawic poczęte, krwi potokami zgaszone, Bożem tchnieniem przemknęły nad nami. Dziś ziemia znów spokojna i las stoi uśpiony, cięźej tylko spoczęła na nie dłoń niewoli.

Lecz nisko, spodem, wśród gnębiącej martwoty idą szmery dziwne — to bije tętno życia, to wśród bagnistych topielisk, uschłem podszyciem lasu potok przyszłych czasów drogę sobie mozolnie toruje

Zginął młody Chalecki, jak ginęli wówczas wszyscy, co byli mocą i jasnością narodu; lecz zginął-że prąd ich myśli, czy zginął ślad ich pracy? Co z nieśmiertelności idzie, śmiercią nie umiera. Gdy się czyn z bożej myśli zrodzi, kiedy naród w imię prawdy, w imię praw ludzkości powstanie, tam śmierci dla jego czynów niema. Przemoc może światła pogasić wszelkie, może całunem kraj pokryć cały — spodem, u dołu, życie tleć będzie, będzie drogi sobie torować, i wzmagać się, i rość — nieśmiertelne życie, w krwi przelanej poczęte, w tamtej — ofiarniczej, prawej. Takie jest prawo nieśmiertelności prawd i takie drogi bożego ducha na ziemi.

Wśród szybkiej jazdy nocnej, w ciszy szeroko dokoła rozlanej, dźwięczała mi w uchu melodja 15go Preludjum, w ryku niszczącej burzy wytrwała i niezmożona, brzęczał mi rój pszczół, u złotego miodu szemrzący: „to nic, to nic, a my robimy swoje“ i brzmiały akordy tych hymnów, który młodzież nasza nawet wśród zabaw dziecinnych śpiewa. A gdy raz jeszcze spojrzałam na niknące pozamną łany niegdyś Chaleckiego, cichym snem letniej nocy ujęte, zdało mi się znowu, że natura oddech wstrzymała i oczekuje na coś, na kogoś, co przyjdzie z jasnego powietrza, podniesie się w oddechu ziemi — któż zgadnie? może tam, w tych niskich mgłach..

W. Dalecka.

Prasa poznańska.

(Ciąg dalszy).

Najgorszem z tego względu jest położenie pism w zaborze pruskim, gdyż rozchodzą się po najmniejszej przestrzeni i wśród najmniejszej liczebnie garstki społeczeństwa polskiego. Możnaby sądzić, że nic nie stoi na przeszkodzie rozpowszechnianiu się poznańskich dzienników w Galicji lub odwrotnie i tak jest też istotnie w zasadzie, praktyka jednak czego innego dowodzi. — Ludność nasza w obu tych dzielnicach, żyjąc pod zupełnie innemi prawami i w innych warunkach, ma bardzo wiele odrębnych zupełnie spraw i interesów lokalnych. Ponieważ te właśnie miejscowe sprawy najżywiej czytelników obchodzą, gdyż najściślej ze wszystkiemi okolicznościami ich życia są związane, więc czytywanie krajowych gazet jest dla nich potrzebą, a zamiejscowych w najlepszym razie przyjemnością, wiemy zaś dobrze, że na tego rodzaju przyjemności nie wielu u nas lubi — a nie wszyscy mogą pieniądze wydawać. Niekorzystne położenie pism, wychodzących w najszczuplejszej dzielnicy Polski, równoważy się poniekąd tem, że w stosunku do ogółu mieszkańców jest tam największy procent ludzi czytających. Istotnie, w żadnej pewno części kraju niema tak mało analfabetów i nigdzie chęć do czytania tak nie jest rozpowszechniona wśród ludu. Fakt ten tak powszechnie jest znany, że podnoszenie wysokiej oświaty wielkopolskiego ludu stało się już prawie oklepanką, a jak w każdej oklepance, tak i w tem twierdzeniu mieści się dużo prawdy, której jednak bez różnych zastrzeżeń przyjmować nie można. O rodzaju oświaty ludu naszego w pruskim zaborze możnaby zupełnie osobny artykuł napisać, nie chcąc jednak odchodzić zbyt daleko od tematu, zaznaczam tylko, że oświata ta jest bardzo jednostronną. Nie można n. p. powiedzieć, aby u ludu poznańskiego była silna dążność do zdobywania ogólnego wykształcenia, aby nauka sama przez się była dla niego ponętną. Ceni on oświatę, jako środek, nie jako cel, co jest naturalnie nie jego winą, lecz tych, którzy nim kierowali. Wszystko, co się u nas zrobiło dla ludu, było tendencyjne —, kształciło się lud dla tego, aby w nim zyskać pomoc, poparcie i siłę w walce narodowościowej, to naturalnie musiało się zaznaczyć w otrzymanych rezultatach: świadomość narodowa, świadomość praw i interesów politycznych jest wśród szerokich warstw bardzo rozpowszechniona, obok tego jednak społecznego i obywatelskiego wyrobienia spotyka się czasem objawy dziwnej w innych kierunkach ciemnoty.

Ponieważ prasa z potrzebami i dążnościami swych czytelników z konieczności liczyć

się musi, więc ze samych powyżej wymienionych okoliczności wypływa główna charakterystyka pism poznańskich. Chcąc zdobyć materjalną podstawę egzystencji, muszą one przedewszystkiem uwzględniać najliczniejszą kategorję czytającej publiczności i zniżać się do umysłów mało wykształconych. Ktoś z przejeżdżających przez Poznań Warszawiaków zauważył, że wszystkie tamtejsze pisma są jakgdyby pisane dla ludu. Istotnie pomiędzy prasą ludową, a prasą, zaspakającą potrzeby inteligencji niema tam ściśle zakreślonej granicy i byłaby ona zresztą zbyteczną. O ile bowiem poziom umysłowy warstw niższych jest dość wysoki, o tyle znów t. zw. inteligencja razi niejednokrotnie mieszkańców innych dzielnic kraju zdumiewającą ciemnotą. Niema umysłowego przedziału między różnemi warstwami społecznemi, jest to najwyżej łagodne stopniowanie, a i to nawet niezawsze, gdyż zdarza się tam w rozmowie z szewcem lub dorożkarzem usłyszeć znacznie rozsądniejsze zdania, szersze i konsekwentniejsze poglądy, niż w towarzystwie miejskich lub wiejskich luminarzy.

Prawdziwa inteligencja, ta, która umie samodzielnie myśleć, logicznie rozumować i wytworzyć sobie własny uzasadniony światopogląd, stanowi bardzo nieliczną garstką, a jednostki, które się na nią składają, są zawsze wyjątkami w swej sferze, bez względu na to, do jakiej należą. W ogóle sztuka myślenia należy w Poznańskiem do najbardziej zaniedbanych kunsztów, gdyż nietylko żadnych namacalnych korzyści nie przynosi, lecz często nawet zgubne skutki za sobą pociąga. Bo i po cóż sobie mozolić głowę nad tworzeniem własnego zdania, kiedy w ostatniem stuleciu dosyć już mądrych zdań powiedziano i wydrukowano? Co było prawdą przed 25-ciu laty, musi być prawdą i dzisiaj. Zamiast więc dorabiać się własnego umysłowego kapitału, każdy zaciąga kredyt w kasie ogólnej, kursują ciągle wytarte liczmany przed 30 laty wykutych frazesów, komunałów, oklepanek, których nikt krytycznemu rozbiorowi nie poddaje. Tą zdawkową monetą żyją wszystkie warstwy społeczeństwa bez różnicy i to stanowi szerokie tło życia umysłowego w Poznańskiem.

Na taki stan rzeczy wpłynęło kilka czynników. Najpotężniejszym z nich była walka kulturna, która spotęgowała wpływ duchowieństwa i dała olbrzymią, przygniatającą, bezgraniczną przewagę kierunkowi konserwatywnemu. Sprzyjało mu również nadmierne, a koniecznością wywołane rozpolitykowanie społeczeństwa. Wszystkie zdolności, talenty, wszystkie siły umysłowe i cała energja jego wyczerpywała się od lat wielu w codziennej walce z napierającą falą germanizmu. Nie było czasu na kształcenie się, nie było go na teoretyczne dyskusje, na walki o zasady, na krytykę poglądów bieżących i kurs w kraju mających. Przy nieustannych utarczkach, potyczkach, podjazdach nikt nie mógł się zajmować kreśleniem map i opracowywaniem planów, na czem wreszcie i środki obrony ucierpieć musiały i co się dzisiaj na rezultatach dość niefortunnie odbija.

Nareszcie i to jeszcze wspomnieć należy, że ciągła praca nad ludem, ciągłe z nim na polu politycznem współdziałanie, zmuszało inteligencję do zniżania się do jego poziomu, do stawania na jego umysłowem stanowisku i wprost przyzwyczaiło do przejmowania jego punktu widzenia. Wytworzyła się tam pewna w odwrotnym sensie moralna zależność: ludzie wykształceni muszą podzielać poglądy ludzi prostych, nie mogą sobie na zbyt wielką samodzielność umysłową pozwolić, żeby nie zrażać do siebie tych warstw, które — choć pozbawione władzy — jedyną siłę stanowią. — O inteligencji poznańskiej można powiedzieć to, co Renan mówił o jednym ze swych profesorów: „il a trop enseigné pour avoir pu apprendre quelque chose“ — a ostateczny rezultat jest taki, że nie nauczywszy się niczego, dziś już nie mają czego nauczać.

(Ciąg dalszy nast). *I. Moszczeńska.*



Błędy językowe.

51. Takie wyrazy, jak *coniebądź, ktoniebądź, gdzieniebądź, któryniebądź* i t. p. oraz takie wyrażenia, jak: „gdzie nie pójdę, tam go spotkam“, „co nie powie, to skłamie“, „kto nie wejdzie, to znajomy itp. są błędnemi. Trzeba mówić: *cokolwiek, cobądź, cotylko, ktokolwiek, ktobądź, ktotylko, gdziekolwiek, gdziebądź, ktorykolwiek* i t d., bez *nie*, a także: „gdziekolwiek pójdę“, albo „gdzie tylko pójdę“, „cokolwiek powie“, „co tylko powie“, „cobądź powie“ itp., zawsze *nie* jest zbytecznem. Tegoż rodzaju jest *jakby to nie było, gdzieby to nie było*, zamiast *jakkolwiekbądź, gdziekolwiek.*



Z drukarni Z. Golloba.